EPOKA

TYGODNIK

ROK II | Warszawa, 21 maja 1933 R. | NR. 21 (34)

Cele masonerji

Socjalizm w Europie

Wizja kataklizmu

Budujący przykład

Wydarzenia i dokumenty. Przegląd polityczny. Odgłosy. Najnowsze książki.

AUTORZY: Wasowski. Orosius. Czosnowski. Niedźwiedziński. Centnerszwerowa. Kornacki. Baranowska. Szpecht. Strzelecka.

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

Cena egz. gr. 60

WYDARZENIA I DOKUMENTY

U „DZIEDZICZNEGO WROGA"

Oficjalne biuro telegraficzne niemieckie Wolffa donosi z Londynu:

„Tournée orkiestry filharmonji berlińskiej we Francji zakończyło się koncertem w Lugdunie, wobec wyprzedanej do ostatniego miejsca sali, koncertem, składającym się z dzieł Beethovena, Brahmsa (!) i Wagnera."

Brahms i jego dzieła zostały w Niemczech hitlerowskich zamieszczone na indeksie, albowiem... dziadek Brahmsa, jak wykazały podobno badania urzędu genealogicznego dla sprawdzania aryjskiego pochodzenia obywateli trzeciej Rzeszy, był żydem. Po stwierdzeniu tego horrendalnego w oczach hitlerowców faktu, jubileuszowe uroczystości ku czci znakomitego kompozytora zostały oficjalnie odwołane.

Tymczasem we Francji niemiecka orkiestra symfoniczna wykonywa bez przeszkody dzieła „semickiego" kompozytora, uchodzącego dotychczas za chlubę muzycznej twórczości niemieckiej, a publiczność francuska nie szczędzi oklasków wykonawcom, pochodzącym z kraju, którego kanclerz wyraża się o nacji francuskiej jako o „zdegenerowanym narodzie, składającym się w połowie z mieszańców murzyńskich, w połowie — mieszańców semickich" (patrz — książka Hitlera „Mein Kampf").

„Dziedziczny wróg", jakim dla Niemiec hitlerowskich jest Francja, składa dowody innych pojęć o kulturze, niż te, jakiemi się kieruje „elita" sfer, sprawujących obecnie rządy w Niemczech.

OKRZYK PAPUGI

W wychodzącym w Darmsztacie dzienniku „Darmstädter Zeitung", znajduje się następujące ogłoszenie:

„50 marek nagrody. Uciekła papuga. „Takowa" woła „Heil Hitler". Wiadomość dla Eugenjusza Wagnera, taksatora i licytanta. Karlstrasse 41. Tel. 2943. Zakład chrześcijański".

Niemcy mają teraz miljony takich papug w ciele ludzkim.

POBÓR REKRUTA W ANGLJI

W roku bieżącym wcielono w szeregi armji angielskiej około 30.000 rekrutów. W lokalach komisji poborowej dochodziło do płaczu (w 26 wypadkach stwierdzono ataki spazmatyczne na tle histerji) wśród tych młodych ludzi, którzy *nie zostali* przyjęci w poczet żołnierzy Jego Królewskiej Mości. Nędza szalejąca w Anglji sprawia, iż dostanie się do koszar, uważane jest za coś równego wielkiej wygranej na loterji, z czem nawet porównać się nie daje szczęście tak problematycznej wartości, jak naprz. uzyskanie licho płatnej pracy fabrycznej, czy biurowej. Koszary — to dla młodego Anglika rękojmia beztroskiego bytu na cały szereg miesięcy.

Przyjęcie w poczet rekrutów nastręcza wszakże ogromne trudności, — tak więc 1) tylko bezżenni mają szanse dostania się do koszar, 2) rekrut musi posiadać świadectwo nieskazitelnej przeszłości, wydane przez władze policyjne, 3) wzrost wymagany — od 1 m. 60 cm. wzwyż, i t. p. Obliczono, że na 100 młodzieńców odpowiadających powyższym warunkom, komisja lekarska, odrzucała 85-ciu, z powodu złego stanu zdrowia. Jeśli zważymy, że młodzież robotnicza żeni się w Anglji bardzo wcześnie, oraz, że w okresie nędzy zarówno kwitnące zdrowie, jak i nieskazitelna przeszłość, należą do rzadkości, — zrozumiemy wówczas, jak trudno dostać się w Anglji do wojska licznym rzeszom wygłodzonej i bezrobotnej młodzieży w wieku lat 18 — 25.

Z każdym rokiem kryzysu gospodarczego, „materjał na żołnierzy" jest coraz surowiej i dokładniej sortowany, postanowiono bowiem przeprowadzić radykalne oszczędności w dziedzinie t. zw. „leczniczych wydatków" ministerstwa wojny. O wysokości tych wydatków daje pewne pojęcie fakt, iż „znakomicie opłaca się burzenie starych budynków koszarowych i budowanie nowych higjenicznych", jak wyraził się ostatnio w komisji budżetowej Minister Wojny, lord Hailsman. Aby zmniejszyć jaknajwydatniej koszta leczenia chorych żołnierzy, 1) przyjmuje się tylko bezwzględnie zdrowych rekrutów, oraz 2) wprowadza się dalekoidące zmiany w celu uzdrowotnienia życia koszarowego. Zmianom tym uległa przedewszystkiem kuchnia żołnierska, nad którą czuwa dzisiaj lekarz-specjalista. Dzięki uzdrowotnieniu życia żołnierskiego. Ministerstwo wojny zaoszczędziło w ubiegłym roku 2 miljony funtów szterlingów.

DOLA WETERANÓW

Nowe zarządzenia oszczędnościowe, które kongres Stanów Zjednoczonych uchwalił na żądanie Roosevelta, normują również sprawę subwencjonowania weteranów wielkiej wojny. Słynna tragedja bonusów i marszu weteranów na Waszyngton, znalazła epilog, który prasa amerykańska, zgodnie nazywa „końcem bonusowego skandalu".

W ogólnej sumie 550 miljonów dolarów oszczędności — 350 miljonów dolarów uzyskane będą z redukcji pensyj i zasiłków, z jakich korzystali dotychczas żołnierze amerykańscy z czasów wielkiej wojny i ich rodziny. Nowy „Act" anuluje wszelkie poprzednie postanowienia o wynagrodzeniu strat wojennych, upoważniając jednocześnie Roosevelta do ustalenia nowego systemu odszkodowań.

Podczas wojny Stany Zjednoczone zmobilizowały cztery miljony trzysta tysięcy ludzi, z pośród których 360 tysięcy zostało zabitych lub rannych. Większość powołanych pod broń nie opuściła zresztą wcale ziemi amerykańskiej. Mimo to suma, jaką wydają Stany Zjednoczone byłym kombatantom, przewyższa analogiczne wydatki Anglji, Francji, Niemiec i Włoch — razem wziętych. Te cztery kraje zmobilizowały 33.600.000 ludzi, z czego 16.300.000 zginęło lub zostało rannych.

Budżet federalny za rok 1932-33 przyznaje weteranom 960 miljonów dolarów, podczas gdy łączna kwota udzielona przez Anglję, Francję, Włochy i Niemcy wynosi 800 miljonów dolarów.

Ukształtowanie się i trwanie tego stanu rzeczy tłomaczy prasa amerykańska presją moralną, jaką potrafiły wywrzeć na społeczeństwie i kongresie świetnie zorganizowane związki weteranów.

MURZYNI Z SCOTTSBORO

Proces w Scottsboro, w którym skazano na fotel elektryczny ośmiu murzynów oskarżonych o zgwałcenie dwóch białych kobiet, nabrał światowego roz-

głosu na wzór sprawy Sacco-Vanzettiego i Toma Mooney. Obecnie zapadł w instancji apelacyjnej wyrok, powtórnie skazujący jednego z ośmiu czarnych — Haywood Pattersona. Po dziesięciogodzinnej naradzie sędziowie uznali jego winę za dowiedzioną. Wyrok śmierci wywołał powszechne zdumienie nawet wśród miejscowej ludności, wrogo usposobionej do „czarnych intruzów". Pełne sprzeczności zeznania świadków nietylko poddają w wątpliwość podstawy oskarżenia, ale dowodzą zupełnej niewinności Pattersona. Jedna z „ofiar" Ruby Bates cofnęła swoją poprzednią skargę i oświadczyła przed sądem, że „całą historję zmyśliła wraz z przyjaciółką, aby uniknąć aresztowania za włóczęgostwo". Gdy niezadowoleni z jej zeznań sędziowie wskazali na brak bliższego związku między obawą przed aresztowaniem, a pomysłem oskarżenia murzynów o gwałt — Ruby Bates podała inny motyw swego kłamstwa — była podczas podróży „excited". Przyjaciel jej potwierdził prawdziwość tych zeznań, gdyż Buby Bates przed kilku jeszcze miesiącami opowiedziała mu o zmyśleniu całego zdarzenia.

Druga „ofiara" Virginia Price podtrzymywała jednak nadal swoje oskarżenie i sędziowie — nie zważając na zeznanie Ruby Bates — powtórnie wysłali Haywood Pattersona na fotel elektryczny. Obrona skierowała sprawę do Sądu Najwyższego. Wkrótce odbędzie się rozprawa apelacyjna pozostałych siedmiu „czarnych z Alabamy".

PRZELUDNIENIE I ZABORCZOŚĆ

Źródłem zaborczego imperjalizmu japońskiego jest dotkliwy kryzys ekonomiczny.

W okresie od r. 1873 do 1913 odsetek narodzin wzrósł od 24 do 33 pro-mille. Żaden kraj Europy, z wyjątkiem Rumunji, nie zna takich cyfr.

Gęstość zaludnienia wynosi 134 mieszkańców na 1 km.^{2}, przewyższając analogiczne cyfry Europy z wyjątkiem Belgji, Holandji i Anglji.

Od schyłku 17 wieku do połowy wieku 19, Japonja liczyła 30 miljonów ludności. Podczas całego tego okresu liczba ta nie doznawała znaczniejszych wahań.

Przewrót w stanie zaludnienia nastąpił wraz z rewolucją roku 1868, która zapoczątkowała, przemianę Japonji feodalnej w państwo nowożytne. Niezwykły rozwój ekonomiczny zdwoił liczbę ludności na przestrzeni 60 lat.

Japonja cierpi dziś, wskutek przeludnienia. Kraj popadł w kryzys agrarny, tem dotkliwszy, że 58% ludności utrzymuje się z rolnictwa, leśnictwa i rybołóstwa. Między wielkim właścicielem ziemskim a rolnikiem trwa stan ciągłej walki. Niezadowolenie i nędza przejawia się częstemi strajkami i buntami.

Wszelkie poczynania rządowe starają się bezskutecznie rozwikłać problem wyżywienia narodu, który co roku wzrasta o *miljon* mieszkańców. Zawiodła polityka kolonizacyjna i emigracyjna. Obecny program wskazuje trzy podstawowe drogi: intensyfikację uprawy roli, uprzemysłowienie kraju według wzorów angielskich i zdobycie nowych terenów dla ekspansji ludnościowej i wywozowej.

Przesłanki te nie pozwolą nigdy Japonji zrezygnować z „kontroli" nad Mandżurją i olbrzymim rynkiem chińskim. Handel japoński przygotowuje się do wygnania z Chin, Indyj i innych terenów azjatyckich — dotyczasowych współzawodników europejskich i amerykańskich.

TRAGEDJA ASYRYJSKA

Przed rokiem, państwo Iraku, wyzwolone z pod władzy mandatowej Anglji, przyjęte zostało do Ligi Narodów.

Rząd Iraku złożył formalne gwarancje ochrony mniejszości narodowych. Lecz gwarancje te nie obejmują Asyryjczyków, jako mniejszości religijnej (Asyryjczycy są chrześcijanami).

Dyplomacja arabskiego Iraku tak zręcznie pokierowała biegiem sprawy, że Liga Narodów nie zdołała się zorjentować w nieludzkiem dziele, któremu mimowoli patronuje.

60.000 Asyryjczyków, byłych poddanych Turcji, żyje obecnie w prowincji Mosulu — bez ziemi, bez szkół, a dziś i bez wiary w Anglję, której służyli w ciągu 14 lat.

Wegetują w zabagnionych osadach, nawiedzanych malarją. Przywykli do klimatu gór — szybko się degenerują. W ciągu 14 lat liczba 150.000 Asyryjczyków spadła do 60 tysięcy!

Zdani są na łaskę Arabów, przeciwko którym walczyli podczas wielkiej wojny. Są niezorganizowani, rozproszeni między Arabami, którzy doskonale pamiętają wystąpienia asyryjskie, wspomagające Wysokiego Komisarza w tłumieniu buntów przeciwbrytyjskich.

Asyryjczycy stają wobec konieczności masowej emigracji. Chcą uniknąć zemsty wyzwolonych z pod władzy mandatowej Arabów, którzy traktują ich jak intruzów i wrogów rasowych.

RUCH WYDAWNICZY W Z. S. S. R.

W r. 1913 wydawano na terenie całej Rosji 860 gazet o nakładzie 2,5 miljonowym. Książek wydano 28 tysięcy w 110 miljonach egzemplarzy.

W r. 1931 wydano 5.400 gazet o nakładzie 35 miljonowym. Książek wydrukowano 55 tysięcy w 850 miljonach egzemplarzy.

W r. b. średni nakład dzienny pism osiąga cyfrę 38 miljonów, przyczem pisma są redagowane w 60 językach, a książki w 83 językach.

O MASONERJI

Znowu, po raz niewiadomo który, rozlegają się wołania o zniszczenie tajemniczej potęgi wolnomularstwa.

Walczący z masonerją dzielą się na różne kategorje.

Zastęp może największy stanowią ludzie naiwni, otumanieni, oszukani, którzy wierzą, że wolnomularstwo to jakiś żywioł szatański, sprzysiężenie piekielne, spisek potworów moralnych, zagrażających wszystkiemu, co jest moralnością świata.

Kategorja druga — to ci, którzy widzą w ideach i hasłach masonerji niebezpieczeństwo istotne dla swych dogmatów, interesów i pozycyj. Ci częstokroć wyznają otwarcie, że pragną zniszczyć podstawowe zasady wolności ludzkiej. Wróg masonerji, jezuita Stanisław Załęski, autor dzieła p .t. „O masonji w Polsce od roku 1742 do 1822" (Kraków, r. 1889), oświadcza szczerze i uczciwie, że chodzi mu o potępienie „propagandy wolnego badania, wolnej nauki i wolnej wiary" (str. 31), oraz tych, którzy nie kładą „granicy poszukiwaniu prawdy" (str. 33). Tacy więc wrogowie masonerji, jak jezuita Załęski, nie insynuują jej celów „demonicznych", lecz właśnie zwalczają to, co rzeczywiście leży u podstaw ideologji masońskiej.

Do innego rodzaju wrogów masonerji należą demagodzy, którzy świadomie i cynicznie zniekształcają i fałszują jej dążenia. Ci ze swoich warsztatów kłamstwa wypuszczają na świat plotki i opowieści najśmieszniejsze, bzdurstwa obliczone na to, że niemasz granicy naiwności ludzkiej. Czegoż to nie pisano o masonerji? Gdzieś, potajemnie, w dziwnych łożach zbierają się straszni ludzie i knują, knują, knują... Ich radością jest zło świata. Ich rozkoszą — nieszczęścia narodów. Ich szczęściem — dewastacja moralna, bezdroża duchowe, bezład, chaos i anarchja... Mają swoją wiedzę tajemną, swoją magję i swoje zaklęcia... Urządzają czarne msze, orgje zmysłowe i najróżniejsze przyjemności sataniczne... Cóż jeszcze dodać? Są wrogami religji i partjotyzmu, obrażają Boga i ojczyznę, zohydzają wszelkie cnoty ludzkie i obywatelskie... Prawdziwe dzieci szatana, apostołowie nowej Sodomy i Gomory! Oto wizja wszechświatowego niebezpieczeństwa, obraz grozy, który można roztaczać przed otumanionym tłumem. Oto argument pomocniczy w strategji politycznej demagogów, którzy wiedzą, że na wyobraźnię oszukanego motłochu trzeba działać nieustannie straszakami. A do najstarszych i najlepiej wypróbowanych należy straszak masoński. Na żadnym może terenie walki społecznej nie osiągnięto takiego rekordu kłamstwa, jak w walkach z masonerją. Tu się kłamstwo — jak mówił Mochnacki — „wysiliło". O potwarcach masonerji możnaby dziś powiedzieć, to samo, co sto lat temu pisał Mochnacki w odpowiedzi na oszczerstwa nań rzucone: „To jest fałsz równie bezczelny, równie nikczemny, jak te wszystkie fałsze, plotki, potwarze, które stanowią cały charakter, cały talent i całą egzystencję wydawców tych pisemek. We wszystkich kloakach paryskich niemasz tyle śmiecia, tyle brudów, co w mózgu tych redaktorów. Jeśliby całą jaką generację błotem zbryzgać trzeba było, toby oni mogli podjąć się tego zatrudnienia, tego zarobku... Po nich nikt już kłamać nie będzie w całym chrześcijańskim świecie. Oni kłamstwo wysilili, skompromitowali je bezczelnością i niezręcznością. (List do redakcji „Kroniki". Pisma rozmaite, str. 270, wyd. poznańskie, r. 1863).

Lecz mylił się Mochnacki. Kłamstwo po tamtych oszczercach na zamilkło „w całym chrześcijańskim świecie". Nie zostało „skompromitowane" w świadomości społecznej. Duch kłamstwa ma niepokonalną żywotność i niewyczerpaną wyobraźnię.

Inną jeszcze kategorję wrogów wolnomularstwa stanowią działacze polityczni, opanowani na tym punkcie wyraźną manją prześladowczą. Możnaby powiedzieć, że obrażony duch masonerji zemścił się na nich w ten sposób okrutny, iż wypaczył ich myśl, zasiał niepokój w ich duszy, odebrał równowagę i zmącił rozsądek.

Prześladuje ich, ukazuje się w apokaliptycznych wizjach, jako wszechpotęga, rządząca i trzęsąca światem. Chorzy na taką manję prześladowczą rozumować potrafią w innych sprawach logicznie i przytomnie, tylko myśl o masonerji przyprawia ich o drżenie. Do pisarzy politycznych, ową manją najsilniej dotkniętych, należy wódz Narodowej Demokracji, Roman Dmowski.

**
*

W broszurze p. t. „O masonerji i masonach" (wydanej w Warszawie, w roku 1906), pisał Andrzej Niemojewski: „Ktokolwiek w Polsce walczy o wolność sumienia, o wolność nauki, o wolność polityczną, społeczną i ekonomiczną, tego prędzej, czy później okrzyczą za masona. Masonem nazywają uczonego, który wykłada, że plemię ludzkie istnieje na ziemi znacznie dłużej, niż to uczy ksiądz, podczas wykładu religji. Masonem nazywają socjalistę, który dowodzi, że stan robotniczy nie powinien z taką uległością znosić swej niedoli, jak to radzi ksiądz w czasie każdego niemal kazania. Masonem nazywają ludowca, który głosi, że chłop polski w walce o byt ma przeciwko sobie zbratanego księdza z panem, czemu przeczą pan i ksiądz". I wiele jeszcze innych powodów wywołuje to zaszczytne „urągowisko": mason... Zwłaszcza zaszczytne w Polsce, gdzie wolnomularstwo ma tradycje tak wzniosłe. „Mason

polski — pisze w tej samej broszurze Andrzej Niemojewski — jest postacią, która czeka swego sprawiedliwego historyka. Widzieliśmy go, jak w wieku XVIII-ym pierwszy zaczął myśleć, a w wieku XIX-ym pierwszy począł działać. Nazwiska, które opromieniły w ciągu wieków naszą historję, należą do spisów wolnomularskich. Oto bohater książę Józef Poniatowski. Oto sławny wódz Henryk Dąbrowski. Oto generalicja: Kniaziewicz, Umiński, Prądzyński. Oto wieloletni minister oświaty Stanisław Potocki. Oto literaci Osiński, Niemcewicz, Kniaźnin, Minasowicz, Brodziński. Oto cały szereg profesorów, mężów, stanu, oficerów, obywateli. Oto najprzedniejsze rody Potockich, Jabłonowskich, Rzewuskich, Lubomirskich, Skarbków, Mycielskich, Bnińskich, Tarnowskich, dzisiejsze ostoje reakcji i klerykalizmu, przodują niepodległą myślą, walczą z supremacją dogmatu nad rozumem, budują naród. Mason polski nie może być usunięty z historji polskiej bez poważnego uszkodzenia jej samej". Szczególnie tedy nikczemne, bo przeciw najlepszym tradycjom Polski wymierzone, są ataki oszczercze przeciw masonerji polskiej.

***

Dwa czynniki zdają się ułatwiać tę kampanję: tajność organizacji masońskich i ich symbolika.

Tajności *organizacji* przypisuje się tajność *celów*, choć to są rzeczy różne. I — z kolei — nic już łatwiejszego, jak owe cele rzekomo tajne zniekształcić i sfałszować. Nic bardziej jawnego i wyrazistszego, niż cele masonerji, wypisane na wszystkich posterunkach wolności, równości i braterstwa. Otóż właśnie: cele jawne, organizacje tajne. Tajność zaś masonerji nie spokrewnia jej przez to z jakimikolwiek organizacjami politycznemi, które muszą działać konspiracyjnie, po pierwsze bowiem masonerja jest instytucją w istocie swej apolityczną, powtóre we wszystkich konstytucjach masońskich wyrażona jest zasada podstawowa, nakazująca poszanowanie ustaw państwa. Tajność masonerji nasuwa ludziom naiwnym, lub ludziom złej woli wniosek, że *skoro* tajna, to przez to samo kryjąca niebezpieczne dążenia i cele. Tak rozumując, mógłby katolik dopatrzeć się celów niebezpiecznych, naprzykład, w tajnym konsystorzu papieskim...

Czemu jednak w niektórych krajach organizacje masońskie są dotychczas tajne? Dzieje się to siłą uroku tradycji, również pod tym względem szanowanej. Kiedy masonerja ujawnia swą organizację, obowiązują ją te same zasady i dążenia, co przedtem. W żadnym kraju świata masonerja, po ujawnieniu się, nie zmieniła w niczem swoich programów i haseł. Nadal szerzyła te same idee, zarówno na zgromadzeniach publicznych, jak w setkach swych jawnych czasopism, dla każdego dostępnych. To dowód niezbity, że w okresach tajności organizacja nie miała *celów* tajnych, a już tembardziej takich, jakie jej poprzez stulecia przypisywali wrogowie.

Czynnikiem drugim, który ułatwia szerzenie wieści niedorzecznych, jest starodawna symbolika masońska. Cóż się tam kryje pod temi znakami, rysunkami, ceremonjałami? Skoro niezrozumiałe, to znaczy — mówią naiwni lub w błąd świadomie wprowadzający — że podejrzane i — jak w spisku — niebezpieczne... Niektore znaki symboliczne, z zamierzchłej przeszłości pochodzące, zasnuły się już mgłą czasów. Badania historyczne rzucają światło na ich genezę i znaczenie. Nie wszystko tu zostało wyjaśnione, podstawowy jednak sens symboliki wolnomularskiej daje się bez trudu zrozumieć.

Zmarły przed dwoma laty pedagog polski, prof. Karol Serini, napisał rozprawę p. t. „Symbol w wolnomularstwie". Praca ta, w spuściźnie po zmarłym znaleziona, wydana została obecnie przez grono przyjaciół i uczniów. (Skład główny w Domu Książki Polskiej, Warszawa, 1933). Przejrzysty, znakomity wykład wyjaśnia czytelnikowi, jak niemożna lepiej, sens tej rzeczy. W części pierwszej p. t. „Logika symbolu", znajdujemy uwagi o pochodzeniu wyrazu „symbol" i o zadaniach symbolu. W części drugiej — o metafizyce symbolu, w rozdziale 3-cim — rozprawa o znaczeniu symbolu w wolnomularstwie, w 4-tym — o symbolu w wolnomularstwie polskiem. W jasnym, przenikliwym, mądrym wywodzie rozwiewają się tu różne plotki i legendy. Lecz wartość i znaczenie rozprawy ś. p. prof. Seriniego nie na tem tylko polega. Rzuca on również snop światła na rolę formy symbolicznej w jej związku z żywą treścią moralną i duchową. O tej zaś treści pisze z entuzjazmem Polaka, który widzi i ocenia rolę masonerji w dziejach narodu polskiego, jej tradycje i dziedzictwo:

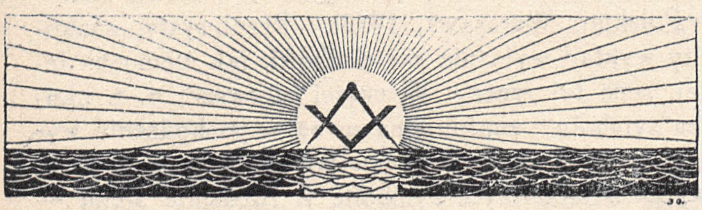
„Masonerja polska należy do tego odłamu wolnomularstwa wszechświatowego, w którym czynnik narodowy przeważał nad międzynarodowym. Powstała w tym okresie dziejów, gdy byt państwowy chylił się ku upadkowi. Narazie wolnomularstwo polskie było zabawką wielkopańską, tylko luźno związaną z losami narodu. W miarę wzrastania i potęgowania się ruchu odrodzeńczego, masoni stawali na jego czele, masonerja zaś została kuźnią, gdzie wykuwano plany ku uratowaniu ojczyzny, najpiękniejszy kwiat ginącego państwa, lecz odradzającego się narodu — Konstytucja 3 maja — była w niemałym stopniu dziełem wolnomularstwa. Tępota umysłowa, egoizm obywateli i przemoc wrogów sprowadziły śmierć Rzeczypospolitej; w popiołach jednak tlił ogień ofiarnej miłości ojczyzny, i legjony masona Dąbrowskiego wkroczyły do ojczyzny ze sztandarami, na których obok godła państwowego były umieszczone symbole wolnomularskie. Okres Królestwa Kongresowego był czasem najbujniejszego rozkwitu

wolnomularstwa, oficjalnego do kasaty w r. 1821, konspiracyjnego do wybuchu powstania listopadowego. Ile twórczych myśli, szlachetnego zapału i pięknych czynów wniosła masonerja do skarbnicy narodu, oceni dziejopis, który w imię bezstronności naukowej ustali rolę wolnomularstwa w tragicznych dziejach narodu.

„Obecne wolnomularstwo polskie objęło po swych przodkach piękne dziedzictwo; najpiękniejsze wzloty ducha polskiego są nierozerwalnie związane z masonerją i dumni mogą być ci, którym jest dane stanąć przy warsztacie pracy o takiem bogactwie duchowem i zasługach dziejowych. Żadne napaści nie są zdolne pomniejszyć chwały, jaką sobie uczciwie zdobyło wolnomularstwo polskie w dziejach narodu".

Tak, żadne bowiem napaści nie pomniejszą rzeczywistej potęgi nieśmiertelnych idei.

Józef Wasowski



SOCJALIZM
PO WYPADKACH MAJOWYCH

Pożar Reichstagu, teror antysemicki, okrucieństwo poszczególnych zbrodni hitlerowskich przysłoniły nieco czytelnikom gazet główne zarysy nowej sytuacji, w jakiej znalazła się Europa po wypadkach niemieckich.

Jednym z głównych faktów, jaki wyłonił się z chaosu epizodów, jest znaczne osłabienie socjalizmu, jako czynnika międzynarodowego. Wystąpienie socjaldemokracji niemieckiej z Drugiej Międzynarodówki odbiera tej ostatniej dużą część jej znaczenia. Jeżeli bowiem socjalizm mógł w najbliższym czasie odegrać jakąś rolę międzynarodową — to jedynie jako organizacja obejmującą ludność robotniczą obu grup państw przygotowujących się do ewentualnej wojny. Organizacje jednostronne, zwłaszcza nazajutrz po stwierdzeniu niemożności wzajemnej współpracy, z natury rzeczy posiadać mogą tylko bardzo ograniczony zakres działania.

Aby ocenić, jak głęboko wypadki ostatnie wstrząsnęły socjalizmem europejskim, wystarczy przysłuchać się uważnie głosom, które, wychodząc z szeregów socjalistycznych różnych krajów, zalecają pogodzenie się z Międzynarodówką Komunistyczną. Kwestja ewentualnej ugody z Moskwą dyskutowana była nasamprzód na Zachodzie, gdzie konieczność jednolitego frontu proletarjackiego została, platonicznie narazie, uznana przez największe autorytety socjalizmu. Myśl ta dawniej już nurtowała socjalistów austryjackich, spodziewających się dziś lada chwila przewrotu legitymistycznego, lub nawet hitlerowskiego w Wiedniu. W Niemczech reprezentowała ją między innemi *Wetlbühne*, której główni redaktorzy znajdują się dziś wśród uwięzionych lub zaginionych. Wreszcie myśl taka u nas była ostatnio szeroko omawiana przez uczestników bardzo interesującej ankiety na ten temat w *Nowem Piśmie*.

Te głosy ugodowe uderzają nas tembardziej, że przecież przewrót hitlerowski w Niemczech jest w znacznej części dziełem Trzeciej Międzynarodówki, która postawiła sobie za pierwsze zadanie zniszczenie socjalizmu i demokracji niemieckiej i przez blisko 15 lat dążyła do tego solidarnie z hitlerowcami z żelazną konsekwencją i, jak widzieliśmy, z nienajgorszym wynikiem. W przededniu wyborów niemieckich, bo 5 marca r. b., Trzecia Międzynarodówka rozesłała do swych adherentów w Niemczech okólnik nakazujący szukać kontaktów i porozumień z socjaldemokratami z pominięciem Drugiej Międzynarodówki. W ten sposób Międzynarodówka Komunistyczna, zniszczywszy na spółkę z Hitlerem socjalizm i demokrację niemiecką, chciała wcielić do swych szeregów resztki socjalistów.

Proletarjatowi niemieckiemu komuniści i socjaliści ugodowcy dają do wyboru: hitleryzm lub komunizm. Wybór jest niezmiernie trudny, zważywszy że oba reżimy nastręczają w praktyce tak uderzające podobieństwa. Ponieważ reżim komunistyczny jest już, nawet w swych dalszych skutkach, eksperymentalnie zbadany, wyborcy niemieccy opowiedzieli się raczej za hitleryzmem, chcąc widocznie z dwojga złego spróbować ewentualności mniej znanej. Tem chyba można tłumaczyć przejście w Niemczech ostatnio w ciągu krótkiego czasu prawie miljona wyborców od komunizmu do hitleryzmu przy utrzymującym się stanie posiadania socjaldemokracji. Droga więc proponowana przez ugodowców prowadzić zdaje się tyle samo do Kremla, ile do Brunatnego Domu.

Taktyka socjalistów, idących do ugody z komunizmem wydaje się tembardziej niewdzięczna, że stary świat kapitalistyczny, przyczyniwszy się wydatnie do triumfu hitleryzmu w Niemczech, dziś właśnie rozpoznał w Czerwonej Moskwie swą starą znajomą — Rosję. Dążąc do przywrócenia znanej jej ze swej „równowagi" sytuacji z 1914, burżuazja europejska poczuła dziś rzewną sympatję dla Rosji Sowieckiej. Do Moskwy idą dziś z otwartem sercem i wyciągniętą dłonią długie szeregi dyplomatów w złoconych mundurach, kawalerów maltańskich, komandorów orderu Złotego Runa, baronów przemysłu, miljonerów. Można sobie wyobrazić, jak w tem pielgrzymującem do Czerwonej Mekki towarzystwie wyglądać będą pobici przez zjednoczone siły komunizmu i hitleryzmu socjaliści, wyciągający rękę do zwycięskiego wroga. Warunki, jakie podyktuje im Trzecia Międzynarodówka, usługi, jakich będzie od nich oczekiwać, dadzą zapewne miarę losu zwyciężonych w wojnie nowożytnej, tak mało przebierającej w środkach.

Prasę całego świata obiegł znany u nas tylko w wyjątkach artykuł moskiewskiej *Prawdy*, przedstawiający wypadki niemieckie, jako zwycięstwo komunistyczne. Trudno jest sądzić z wyjątków o myśli sowieckiego publicysty ,można jednak z dotychczasowej taktyki komunistów niemieckich domyślać się, że zniszczenie nienawistnej Drugiej Międzynarodówki i republiki parlamentarnej niemieckiej mogło się wydać w Moskwie zwycięstwem.

Głosy w szeregach socjalistycznych, żądające ugody z Moskwą, są najwymowniejszym dowodem, że socjalizm europejski przechodzi dziś dni najgłębszego kryzysu, głębszego nawet, być może, niż w latach wielkiej wojny. Jego formy organizacyjne kruszą się, w szeregach szerzy się zwątpienie i niewiara. Zjawisko to jednak nie uprawnia jeszcze wcale do zbyt pośpiesznych sądów i przewidywań. Zmierzchowi organizacyjnemu socjalizmu towarzyszy jednocześnie największe rozpowszechnienie głoszonych przezeń idej. Ewolucja państw kapitalistycznych po wojnie zmierza przecież w kierunku wskazywanym przez socjalizm. Sami nawet pogromcy marksizmu w Niemczech nazywają siebie socjalistami. Ideje głoszone od stu lat przez socjalizm okazały się znacznie silniejsze od noszących je dotychczas organizacyj.

Orosius

WIZJA KATAKLIZMU

Trzeźwa ocena stosunków i stanu umysłów na świecie każe nam liczyć się z ewentualnością, że jeśli nie nastąpi jakieś otrzeźwienie ludzkości, to jeszcze nasze pokolenie, a najdalej pokolenie następne stanąć może wobec faktu wybuchu wojny światowej.

Dla zobrazowania jej przypuszczalnych rozmiarów, przebiegu i skutków, Unja Międzyparlamentarna — instytucja, która od pół wieku kroczy w pierwszym szeregu organizacyj pacyfistycznych — już przed kilku laty rozpisała ankietę na temat: „Jakim byłby charakter przyszłej wojny"*).

Pod tym też tytułem wydany został w trzech językach: angielskim, francuskim i niemieckim, bogaty plon tej ankiety, a dzieło musiało snadź odpowiedzieć potrzebie chwili, skoro nietylko znalazło skwapliwych tłumaczy na języki skandynawskie, holenderski i rumuński, ale tak szybko rozeszło się w Europie i Ameryce, że w roku bieżącym okazała się już potrzeba ponownego wydania.

W zasadzie wszystkie narody pragną pokoju, przeważnie jednak wychodzą one z założenia, że najskuteczniejszym sposobem utrzymania go jest zapewnienie sobie maksimum siły, wyrażającej się w najliczniejszej i najlepiej uzbrojonej armji.

Powstaje jednak pytanie, czy wobec współczesnego rozwoju techniki i nowych sposobów prowadzenia wojny, środki niszczycielskie, jakiemi wzajemnie rozporządzać będą partnerzy, nie unicestwiają całkowicie nadziei bezpieczeństwa, pokładanej w posiadaniu potężnej siły zbrojnej?

Pytanie to formułuje we wstępie do ankiety duński minister spraw zagranicznych, p. Peter Munch, długoletni i zasłużony na terenie międzynarodowym bojownik idei pokoju, a zebrane w książce tej artykuły dają na to pytanie jednomyślną, choć pośrednią odpowiedź pozytywną: tak, wobec nowoczesnych środków walki i destrukcji, siła zbrojna nie daje gwarancyj bezpieczeństwa. Niech zaś nikt nie przypuszcza, że ankieta jest wyrazem jakiejś zgóry powziętej doktryny. Nie, organizatorzy jej, uwzględniając różne punkty widzenia, zwrócili się nietylko do zdeklarowanych pacyfistów, ale i do ekonomistów, prawników, socjologów, ludzi nauki, a przedewszystkiem do fachowców, t. j. samych wojskowych. Na ogólną liczbę 18 artykułów, aż 7 wyszło z pod pióra generałów i wybitnych wojskowych różnych narodowości. Ten sposób potraktowania sprawy uchyla zarzut apriorycznej tendencji pacyfistycznej, gwarantuje zaś kompetencję w przedstawieniu faktycznego stanu rzeczy, a wnioski... narzucają się już same.

Te rzeczowe, zimne, pozbawione frazeologji opisy, dokładne obrazy tego, co się dziać będzie podczas przyszłej wojny, sprowadzają się w gruncie rzeczy do stwierdzenia, że przyszła wojna, to ostateczna już zagłada naszej cywilizacji.

Pod względem precyzji środków niszczycielskich, pod względem okrucieństwa stosowanych metod i zasięgu ich działania, nowa wojna wielekroć przewyższy wojnę światową. To była tylko próba generalna — premjera jeszcze nas czeka. Jeśli do tych zjawisk można ze względnem prawdopodobieństwem zaryzykować zastosowanie skali porównawczej, to wojna światowa z 1914 r. tak się ma do tej przyszłej, jak np. powstanie styczniowe do wojny światowej.

Przedewszystkiem ostrze jej zwróci się bynajmniej nie wyłącznie przeciw żołnierzom, którzy w rynsztunku bojowym wyruszą w pole. Wysoko ponad ich głowami przelecą flotylle powietrzne, aby daleko za ich plecami pozbyć się ciężaru setek ton bomb, obrócić w perzynę ich domostwa i dobytek, a ich żony i dzieci, jeśli uszły z pod deszczu żelaza i walących się budynków — wydusić, wytruć najprzemyślniejszemi gazami trującemi, porazić śmiercionośnemi promieniami, zaszczepić im zarazki dżumy i cholery.

Nie będzie też wówczas szczytem odwagi żołnierskiej iść na pewną śmierć. Innego bohaterstwa zażąda państwo od swych żołnierzy: aby trwali na stanowiskach, wiedząc, iż poza ich plecami giną ich żony i dzieci.

Ludzkość stanie wobec tragicznego problematu zagłady, wywołanej jej własną potęgą i rozwojem jej własnej wiedzy i techniki.

Występuje to ze szczególną jaskrawością w świetnym, plastycznym artykule Szwajcarki, p. Gertrudy Woker o wojnie chemicznej i bakterjologicznej, a groza tej wizji przyszłości jest tak wielka, że jeden z angielskich recenzentów, tej książki (Jameson) domaga się jaknajszerszej jej popularyzacji, odczytywania jej ustępów z katedr szkolnych, w klubach towarzyskich, na zebraniach politycznych i dodaje, że gdyby to było w jego mocy, rozdałby darmo miljon egzemplarzy tej książki i czytanie jej uczyniłby obowiązkowem, aby ludzkość dowiedziała się wreszcie co ją czeka bodaj w parę godzin po wybuchu wojny.

Poucza nas o tem nietylko pani Woker, ale i 17 innych autorów z 8 różnych państw Europy, Ameryki i Japonji, oświetlając w swych artykułach zagadnienia takie, jak współczesny rozwój metod wojny, mechanizację wojny, zabezpieczenie i obronę przeciw nowym środkom prowadzenia wojny, umiędzynarodowienia przemysłu wojennego, wpływu nowej wojny na psychikę ludności cywilnej, konsekwencje gospodarcze nowej wojny i t. d.

*) Quel serait le caractère d'une nouvelle guerre? Enquette organisée par l'Union Interparlamentaire. Paris, Librairie Delagrave. 340 str. in. 8-o.

Czytelnik polski, bardziej może niż jakikolwiek inny, powinien zapoznać się z tą książką i zainteresować się tem paradoksalnem zjawiskiem, że „narody zbroją się po uszy, dlatego, że są w strachu i są w strachu dlatego, że są uzbrojone".

St. Czosnowski

ODGŁOSY

LWÓW ROZŻALONY

Ostatni wieczór dyskusyjny Lwowskiego Kasyna Literackiego poświęcony był twórczości i działalności Boya-Żeleńskiego. Na wstępie zauważył p. prezes Ostap Ortwin, iż nie spodziewał się tylu gości, gdyż na poprzednich, równie ciekawych wieczorach mniej było publiczności, wybrał przeto mniejszą salę. Słowa te wypowiedziane z przekąsem, brzmiały jak zapowiedź walki, jak pomruk nadciągającej burzy.

Potem p. Michalina Hausnerowa wygłosiła odczyt o Boyu. Punktem wyjścia wywodów prelegentki była broszura Irzykowskiego „Benjaminek". Prelegentka uwydatniła niesprawiedliwe ataki Irzykowskiego, trzymając się pozatem w granicach neutralności.

Po odczycie nastąpiła dyskusja.

Protagonistą żałosnego widowiska, nazwanego dyskusją, był p. Ostap Ortwin, nieprzejednany wróg Boya. P. Ortwin przerywał przemówienia zwolenników Boya zgoła niewybrednemi okrzykami, jak „nieprawda" lub „Russel to bałwan", bądź to po każdym dyskutancie żywiołowo podskakiwał, wyrzucając ze siebie zdania, ziejące nie tyle świętym, co śmiesznym gniewem. Nie chodzi tu o to, że Ortwin jest przeciwnikiem Boya, ale o poziom jego argumentacji.

Oto kilka kamieni oburzenia p. Ortwina:

1) Jak Boy mógł dostać nagrodę miasta Warszawy, skoro całe duchowieństwo wypowiedziało się przeciw niemu? 2) Boy niczego porządnego nie napisał, wszystkie jego książki to frywolne seksualja (!). 3) Przekłady? Staff przetłumaczył więcej książek (?). A pozatem kto może przeczytać całego Balzaka — wystarczyło wybrać parę jego najlepszych powieści. Oto poziom krytyki... O głos prosi pani, uderzona niekulturalną formą dyskutowania p. prezesa i pyta nieśmiało „czy w kasynie literackiem zawsze tak dyskutują?" Niepohamowany prezes pouczył ją, że „one niby walczą o postęp, o równouprawnienie, ale nie podać której płaszcza, a śmiertelnie się obrazi." Pani opuściła salę. Nie mogę przytoczyć wszystkich nietaktów i wykrzykników p. Ortwina, dodam tylko jeszcze, że w końcu groził zamknięciem dyskusji, zaco dostał należytą odprawę od dra Lewickiego, a gdy i to nie pomogło, oświadczył, że to wogóle on dopiero wprowadził Boya do literatury (!).

Jeżeli p. Ortwin górował tupetem, to p. Geschwind prześcignął wszystkich mętnością i banalnością swego speechu. Słyszałem tylko, że on i Przybyszewski, że Przybyszewski i in... i że w końcu Boy i on i że Boya czytają wyłącznie bezkrytyczne kobiety. A co do p. Andrzeja Rybickiego (dramatopisarza, który w swojem przemówieniu nazwał Boya „genjuszem aktualności"), to Boy jest tylko „genjalnym spryciarzem".

Red. Jampolski starał się, bez powodzenia, umotywować wziętość Boya, sprzyjającą sytuacją kulturalno-społeczną współczesnej Polski.

Za Boyem wypowiedzieli się w mądrych i śmiałych słowach Dr. Lewicki, Pani Mozołowska, inż. Garczyński i red. Igel. Wiele osób nie zabrało głosu, nie chcąc narazić się na wybuchy p. Ortwina.

Wieczór był smutny. Występ p. Ortwina jest bowiem dla dzisiejszego Lwowa symptomatyczny. Ortwin należy do owego przysłowiowego już zastępu „rozżalonego Lwowa". Nibyto, że Warszawa nie uznaje Lwowa. Zato Lwów rozżalony mści się przy każdej okazji. Młodzi lirycy zaczynają karjerę od ofenzywy przeciw Tuwimowi, rozczarowany bardzo Zbierzchowski atakuje Schillera, Raort kłuje Józefa Wittlina, a Ortwin i Geschwind huzia na Boya.

Nie są oczywiście rozżaleni ludzie rzetelnego talentu, bo po pierwsze Warszawa ich uznać musi i uznaje, po drugie dadzą sobie bez tego uznania radę.

Należy ostrzec młodych przed postawą kilku rozgoryczonych literatów i dziennikarzy.

A. Niedźwiedziński

SZKOŁA — UZDROWISKO

Istnieje w Polsce szereg szkół na wolnem powietrzu o charakterze sanatorjów. Nie było jednak dotąd żadnej szkoły leczniczo-wychowawczej dla dzieci najbiedniejszych. Pierwszą szkołą uzdrowiskową typu szkół powszechnych jest zakład w Kiekrzu, oddalonym o 15 km. od Poznania.

Zagranicą oddawna już istnieją uczelnie tego typu. Pierwsza Szwajcarja zrealizowała ideę szkół na wolnem powietrzu. Biuro Międzynarodowe Szkół na wolnem powietrzu z siedzibą w Genewie istnieje już od 12 lat. Takie też szkoły istnieją w Anglji, Francji, Belgji.

Szkoła leczniczo-wychowawcza w Kiekrzu mieści się na przestrzeni 20-morgowego parku. Pobliskie jezioro służy do plażowania. Zakład przeznaczony jest dla 80 dzieci. Nauka prowadzona jest według programu normalnej szkoły powszechnej, tak, iż dziecko bez żadnych zaległości w nauce, po przeprowadzeniu kuracji, może nadal uczęszczać do szkoły, z której przybyło.

Wychowankowie rekrutują się z najuboższych warstw. Dziecko przybywa nieraz dosłownie w jednej koszulinie, a ciało nosi nader wyraźne ślady niestykania się nigdy z mydłem i wodą. Podkreślić tu należy znaczenie zakładu w zakresie propagandy higjeny. Dziecko przywyka do czystości. Przyjmowane są dzieci niedorozwinięte fizycznie. Upośledzone psychicznie, gruźlicze nie są dopuszczane.

Regulamin wewnętrzny przeznacza 4 godziny dziennie na naukę, a resztę czasu na gimnastykę, gry i zabawy. Sale są wciąż wietrzone. Rezultaty pobytu w zakładzie ujawniają się już po kilku tygodniach. Dziecko się odradza.

Personel nauczycielski jest nieliczny (3 osoby). Urządzenia i zasób pomocy szkolnych szczupły. Mimo to zakład — jak dotychczas — znakomicie spełnia swe zadanie.

NAJNOWSZE KSIĄŻKI

BUDUJĄCY PRZYKŁAD

Popularne już dzisiaj hasło zasadniczej reformy szkolnictwa wydało plon obfity w postaci szeregu prac pedagogicznych: bądź książek, ujmujących doniosłe zagadnienie ze stanowiska rozważań teoretycznych, bądź książek, zdających sprawę z urzeczywistnień ważkich postulatów. Zasługą pierwszych jest budzenie do owocnej zawsze dyskusji, drugich — zachęcanie do płodnego naśladownictwa.

Książką zdecydowanie drugiego typu jest zwięzłe, ściśle rzeczowe przedstawienie przez p. S. Razwiłowską systemu, przeprowadzonego w kierowanej przez nią szkole powszechnej i poczynionych tam przez nią doświadczeń na zespole dzieci, w ciągu pierwszych czterech lat nauczania.*)

Z książki tej dowiadujemy się w jaki sposób, bez obosiecznego rewolucjonizowania szkoły, można, traktując dziecko indywidualnie, budzić w niem i rozwijać zrozumienie konieczności podporządkowania się prawu, poczucie odpowiedzialności za swoje czyny i świadomość obowiązków względem otoczenia. Pracy szkolnej, która dostarczyła żywego materjału do rozpatrywanej książki, przyświecała stale dążność do wykorzystywania teoretycznego dorobku wiedzy pedagogicznej, ostrożnego wszelako stosowania go w praktyce, aby osiągnąć możliwie trwałe dodatnie wyniki.

Wytyczną systemu, na jakim opiera się kierowana przez autorkę szkoła, jest uznany przez współczesną pedagogikę, jako podstawa wychowania, obowiązek pracy, wykonywanej przez dzieci samodzielnie zarówno w szkole, jak i poza szkołą, pod warunkiem oczywiście dostosowania tej pracy twórczej do poziomu umysłowej i fizycznej sprawności dziecka, przyczem ocena wyników tej jego pracy pozostaje w ścisłej zależności od indywidualnych jego warunków i uzdolnień. Przeprowadzenie w praktyce tego postulatu wymaga perjodycznego wydawania opinji o dziecku zarówno przez kierownictwo szkoły, jak i przez pociągane przez nią do współpracy domowe otoczenie dziecka. Stąd wybitną cechą omawianej książki — wykładni praktyki szkolnej, jest założenie, że wychowywanie dziecka na jednostkę, odpowiedzialną wobec samej siebie i otoczenia, nie da się pomyśleć bez współdziałania domu.

Ten właśnie moment — bodaj narówni z bezpośredniem oddziaływaniem szkoły na dziecko — stanowi punkt ciężkości przeprowadzonej reformy. Okres niewoli rosyjskiej ugruntował u nas wrogi wzajemny stosunek domu i szkoły, mający oczywiście źródło — ze strony domu — w przesłankach ideowych wyższego rzędu i dlatego urabiający i hartujący w pożądanym kierunku duszę polskiego dziecka. Szczęśliwie zmienione — wraz z wyzwoleniem kraju — warunki nie zdołały jednak wyplenić doszczętnie antagonizmu, którego echa błąkają się jeszcze w postaci pewnego rodzaju lekceważenia, a w każdym razie niedoceniania przez kierownictwo szkoły wpływu domowego otoczenia dziecka. Punkt ten domagał się też nadewszystko reformy ze względu na dobro wychowywanej jednostki. Dlatego też nacisk położony przez autorkę książki, jako kierowniczkę szkoły, na konieczność wciągnięcia rodziców, czy opiekunów do współpracy z nauczycielem - wychowawcą jest momentem szczególnej doniosłości. A jest nim nietylko ze względu na dziecko, ale także i na domowych jego opiekunów, najskuteczniej tą drogą uspołecznionych. W ten sposób misja wychowawcza szkoły rozciągnięta została i na dorosłych, którym częstokroć w równej mierze, jak dziecku — wpływ ten jest potrzebny.

Jak to wygląda w praktyce, dowiadujemy się z książki p. Razwiłowskiej. Rok szkolny podzielony jest na okresy miesięczne. Każdy okres zostaje poświęcony propagandzie obranego hasła: „Szanuj pracę". „Bądź uprzejmy" i t. p. Na początku propagandowego okresu wysyła wychowawca szkolny do domu ucznia zawiadomienie, jakie w danym okresie obowiązuje hasło. W szkole odbywa się odpowiednio uświadamiająca pogadanka, inscenizacja, wyświetlony ilustrujący film. Dzieci wykonywują samodzielnie plakaty, które przez cały czas wiszą na ścianach szkoły. W końcu okresu ma domowa opieka obowiązek przysłania odpowiedzi: „tak", lub „nie" na pytanie: „Czy uczeń postępuje zgodnie z obowiązującem hasłem?" W ten sposób staje się hasło to nie czemś sztucznie narzuconem na przeciąg godzin szkolnych tylko, ale wchodzi w stały nawyk, bowiem dziecko musi w równym stopniu liczyć się z opinją szkoły, jak i swojego otoczenia pozaszkolnego. Dom i szkoła łącznie decydują, czy dziecko zasłużyło na honorowe odznaczenie, czy nie. Oczywiście po ukończonym okresie propagandowym obowiązuje dane hasło w dalszym ciągu, aby stało się zczasem stałą cechą ucznia. Dobrą wolę jego w tym kierunku podtrzymuje świadomość, że chociażby nawet w ciągu okresu propagandowego nie otrzymało odznaczenia, może je otrzymać w każdej chwili, kiedy na nie zasłuży, o czem znów łącznie decyduje szkoła i dom.

Tak samo niezbędne jest współdziałanie domu ze szkołą, w sprawie stosunku dziecka do obowiązku pracy. Poza szkolną pracą obowiązuje dziecko praca domowa, nie w postaci zadawanych lekcji, ale bądź samoistnego uzupełniania nauki szkolnej, bądź rozszerzania i pogłębiania specjalnych zainteresowań dziecka, które często samo podsuwa temat i rodzaj pracy.

Termin wykonywania pracy domowej jest tygodniowy, co pozostawia dziecku pewną swobodę, wdrażając je zarazem do umiejętności ułożenia sobie planu pracy stosownie do swoich warunków domowych.

W samej szkole przeprowadzony jest Daltoński system pracy zespołowej, uwarunkowany nietyle względami ekonomji pracy nauczyciela, ile pobudzania tą drogą współzawodnictwa grupowego, podnoszącego poziom wymagań, a nadewszystko podkreślającego wspólnotę przez podporządkowanie jednostki dobru grupy, a tem samem stanowiącego podstawy wychowania uspołeczniającego. Dzięki stosowaniu takiego systemu przetwarza się przymus, nieunikniony, jako oręż obrony przeciwko dezorganizacji, będącej wynikiem nadmiernej swobody na terenie życia szkolnego, w przymus wewnętrzny, płynący ze świadomej dobrej woli dziecka.

*) S. Razwiłowska: *„Indywidualizm w zespole"*: „Nasza Księgarnia" — Zw. Naucz. Polskiego. Warszawa, 1933.

Przekonywująca prostota, jasność i ścisłość ujęcia przez autorkę wyników jej własnej pracy wychowawczej ma tem większe znaczenie, że niewątpliwie przyczyni się do zachęcenia jej kolegów i koleżanek do pójścia w jej ślady, ile że przeprowadzenie wypróbowanego przez nią systemu zupełnie jest możliwe w każdej umiejętnie i sumiennie kierowanej szkole.

R. Centnerszwerowa

PIĘKNODUCHY NA WAKACJACH

Poszczególne rozdziały ostatniej książki Marji Kuncewiczowej („Dwa Księżyce". Tow. Wyd. „Rój", Warszawa 1933 r.) nie są powiązane ciągłością wspólnej akcji, nie stanowią ogniw powieściowego łańcucha. Ażeby plastycznie unaocznić budowę tej książki, należy sobie wyobrazić widokówkę Kaźmierza nad Wisłą, jako centralny punkt, od którego rozchodzą się na wszystkie strony promienie. Dwadzieścia takich promieni ułożonych gwiaździście i stykających się w jednem wspólnem ognisku, — to dwadzieścia rozdziałów tej ciekawie pomyślanej powieści.

Niestety, poza walorami natury konstrukcyjnej, brak w tej książce wydarzeń artystycznych, brak celu. Ciekawe, niekiedy niezwykłe sytuacje opisane barwnie, plastycznie, z dużą dozą subtelnego humoru,p sprawiają efektowne, lecz krótkotrwałe wrażenie. Po przeczytaniu nie można opędzić się myśli, że czegoś tu za mało w tym natłoku zręcznych sytuacyj, point, ciekawostek.

Tytuł książki miał podkreślić dwoistość akcji, a raczej dwoistość typów powieści, z których jedne rekrutują się z t. zw. nizin społecznych, dla których jest tylko wieczorny czerwonokrwisty księżyc, gdyż pełna noc zastaje ich pogrążonych we śnie po ciężko przepracowanym dniu. Druga kategorja bohaterów książki — to bohema pięknoduchów, która zjechała ze stolicy na wakacje i oto hula po miasteczku, gdy świeci na niebie srebrny księżyc nocny. Aferę z księżycami możnaby z równym skutkiem inaczej przedstawić, a mianowicie tak, że miesiąc wieczorny jest dla ludzi starych, idących spać z kurami, podczas gdy miesiąc nocny świeci dla młodych, szukających przy księżycu lepszych warunków rozkwitu magji miłosnej. Jeśli dodać jedną jeszcze możliwość, a mianowicie, że srebrny księżyc patronuje wszelkim pijacko-złodziejskim wyczynom, podczas gdy t. zw. ludzie porządni wykorzystują noc dla snu, — przekonamy się wówczas, że symbolika „Dwóch księżyców" zbyt jest elastyczna, by mogła brzmieć tajemniczo i niepokojąco, jak zapewne życzyła sobie tego autorka książki.

Przypuśćmy jednak, że „niziny społeczne" istotnie nie znają późnonocnego księżyca. Dużo miejsca poświęca p. Kuncewiczowa sprawom tych społecznych nizin i dużo wkłada talentu w odmalowanie ich życia. Niestety, cały efekt psuje charakterystyczny dla autorki głód nadzwyczajnych wrażeń, usilne staranie, by jaknajciekawiej, jaknajbardziej niezwykle przedstawić swych „niskich" bohaterów.

W rozdziale p. t. „Eksploracje" opisuje autorka wyprawę trojga stołecznych pięknoduchów do pobliskiej wsi po zakupy „artystycznego towaru" chłopskiej fabrykacji. Kupiono wspaniały pasiak, prawie że zwędzono cudem przechowany w chłopskiej chałupie garnczek w kwiatki z angielskiego fajansu, omal że nie „świśnięto" tajemniczych wianuszków, rozłożonych na ławce przed nieznajomą chatą. Możnaby całą książkę nazwać eksploracją miasteczka, czuć bowiem, że dla wrażeń znalazła się tu autorka i globtroterską metodą fotografuje same ciekawostki, same nadzwyczajności, same typki.

Bardzo to jest ładne, częstokroć dowcipne, kiedyindziej owiane nastrojowym sentymentem, nie wyrasta jednak ponad poziom zręcznych t. zw. literackich feljetonów z życia „ludzi prostych".

Daleko szczęśliwiej wypadły te miejsca powieści, w których na plan pierwszy występują przedstawiciele bohemy letnikowiczów. W przeciwieństwie do małomiasteczkowych nizin, ci malarze, śpiewaczki, poetki i t. p. żyją przecież właśnie z tej wyciskanej ze siebie orginalności, niezwykłości czy pozy. Doskonale opisuje autorka ich głód wrażeń, ich zamiłowanie do ciekawych sytuacyj życiowych, tylko, że... ironja na ustach p. Kuncewiczowej jest napewno zbyt mało uzasadniona...

Jerzy Kornacki

SMUTNA MIŁOŚĆ*)

Rytmem, który tętnił w poprzednich tomach powieści Dąbrowskiej, była szara troska i śmierć. Śmierci było tam bardzo wiele. Poprzez wszystkie zdarzenia przeplatała się niezmiennym, a zawsze różnym tragicznym lejtmotywem. Po raz pierwszy położyła się cieniem na ślubie Bogumiła i Barbary, którzy wracają z kościoła do zwłok matki. Potem idzie korowód śmierci: wuja Klemensa, Piotrusia, Teresy, pani Ostrzeńskiej i paru osób pobocznych.

W trzecim tomie rytm ten zmienia się. Staje się nim miłość. Budzi się niewiadomo skąd, w warunkach najmniej napozór podatnych, tryska z suchego ugoru życia, czepia się najbardziej nawet opornych serc, jak wiosenna roślinność wpiera się w byle wyrwy między kamieniami.

Oto nasi znajomi z poprzednich tomów: Bogumił i Barbara. Starzejący się dziś ludzie, którzy nawet w młodości niewiele zaznali radości miłosnej. Ona goniąca za romantycznem widmem pierwszej dziewczęcej miłości, on beznadziejnie rozkochany w swej szorstkiej jędzowatej, nieznośnej żonie. Gdzież tu miejsce na miłość, teraz gdy oboje już się starzeją?

Lecz przyszła na dwór serbinowski mocna fala miłości i nawet pani Barbara po raz pierwszy od lat dwudziestu czuje przy pożegnaniu z mężem przed wyjazdem do Kalińca „nie rozkosz i nie przykrość wycierpianą z zaciśniętemi zębami, dwa uczucia, których naprzemian doznawała w zbliżeniu z Bogumiłem, tylko słodycz niewysłowioną uczynienia najbliższego człowieka szczęśliwym".

Ale nie jest to miłość radosna, szczęśliwa, spełniona. Wyrasta wszędzie jakaś dziwna, karłowata, poskręcana, bolesna. Niesie z sobą dojmujący ból zawodu, rozpacz rozstania, gorycz upokorzeń.

Otwiera ten żałosny pochód Olesia Chrobotówna, „stwór jakgdyby jednostronnie uzdolniony do samej tylko cielesnej zażyłości". Olesia przechodziła z rąk do rąk i byłoby jej z tem dobrze, ale naraz pokochała gorąco i *inaczej* Katelbę. Tamto była zabawka. Z nim pragnie żyć, jak z mężem. I tak przychodzi na nią nieszczęście.

Miłość opanowuje nawet nieurodziwą krępą Andzię zwaną ‚kulfonem", która szczyci się tem, że żad-

---

*) *Marja Dąbrowska:* Noce i dnie. Tom 3-ci: Miłość. Wydawnictwo J. Mortkowicza. Warszawa 1933.

nej nocy nie przesypia sama. Jest w jej mocy nawet młoda Jamrozowa, która całkiem sparaliżowana nie zaprzestała pożycia z mężem i urodziła jedno po drugiem czworo dzieci, gdy zaś matka, przykrząc sobie hodować te wnuki, wygnała zięcia z żoninego łóżka, zalewa się łzami, ubolewając, że i ta szczypta radości małżeńskiej została jej z woli starej Klimeckiej odjęta.

Rozpaczliwa i bolesna jest miłość 18-letniej Ksawuni Woynarowskiej do 56-letniego Bogumiła, mocniejsza nad dumę i rozsądek, gwałtowna, niepokonana, a niespełniona; zarodek nieszczęścia ma też w sobie szorstka ,tajona, a desperacka miłość służącej Felicji do Bogumiła, miłość która nie może się wiele spodziewać, a tak się zapamięta, że sobie mówi: „A niechta, choć te jedne parę tygodni, byle nie z drugim a z tym".

A kogo niedobra miłość nie dotknie swem rozżarzonem boleśnie ostrzem, ten czuje się jeszcze bardziej nieszczęśliwy, jak owa panna Marja Hłasko, która nie spotkała się w życiu z kochaniem, nie spotka się z niem zapewne nigdy, i która gdyby miała odwagę przyznania się do swych uczuć, zazdrościłaby bodaj owej Andzi — kulfonowi.

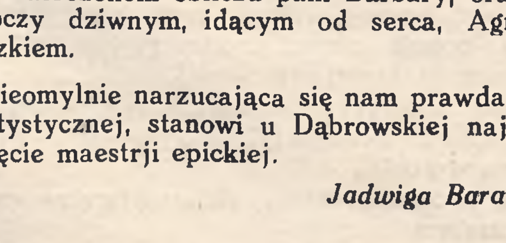
Wszystkie te sprawy miłosne wplecione są w harmonijny w szczegółach i konsekwentny w kompozycji całokształt życia bohaterów, ich rodzin i otoczenia, znajomych i służby. Życie to jest napozór szare i monotonne, chwytane codziennie na gorącym uczynku prac i trosk, drobnych radości i większych zazwyczaj od nich cierpień. Zwartym łańcuchem toczą się sprawy powszednie pospolitych ludzi.

Ale ludzie ci są zawsze wspaniale zarysowani, niezapomniani, a sprawy ich tworzą obraz tak pełnej rzeczywistości, że czuje się doskonale, iż „życie albo nie ma żadnej wartości, albo jeśli ją ma, to we wszystkiem znaleźć ją można, — nie potrzeba po to nigdzie daleko chodzić".

Jedną z przyczyn niezwykłego powodzenia Dąbrowskiej wśród czytelników jest niewątpliwie to, iż twórczość jej daje doskonałe poczucie rzeczywistości. Życie, które maluje, nie jest wyimaginowane. *Tak było naprawdę*. Życie to moglibyśmy poprostu dotknąć ręką. Wystarczyło odnaleźć na mapie Kaliniec i pojechać tam, aby odnaleźć żółtą kamienicę na Raciborskiem Przedmieściu i pod lampą w stołowym pokoju ujrzeć srebrzące się oczy, hardy nosek i jasne usta w nasrożonem obliczu pani Barbary, oraz ucieszyć oczy dziwnym, idącym od serca, Agnisinym uśmieszkiem.

Ta nieomylnie narzucająca się nam prawda w formie artystycznej, stanowi u Dąbrowskiej najwyższe osiągnięcie maestrji epickiej.

Jadwiga Baranowska



DRAPACZE I SMIETNIKI*

Książka dr. Aleksandra Szczepańskiego, byłego konsula generalnego Polski w Chicago, obejmuje dwie dziedziny. Jedna to sprawy wychodźctwa polskiego w Ameryce, druga — dotyczy spraw ogólno - amerykańskich.

Ważkie dla Polski zagadnienie emigracji oświetlił autor wszechstronnie. Omawia tendencje, oraz światła i cienie życia wychodźczego w sposób interesujący i przystępny, nawet dla zupełnie nieobznajmionego z tą kwestją czytelnika. Jednocześnie ustala pewne wytyczne, program na przyszłość, który winien utrwalić więź między Polską, a wychodźctwem zamorskiem.

Wychodźctwo polskie jest wytworem ostatniej ćwierci wieku ubiegłego i lat przedwojennych naszego stulecia. Emigrował przedewszystkiem lud wiejski, najbardziej wówczas upośledzona politycznie warstwa socjalna w Europie.

Jedyną dostępną komórką życia socjalnego była dla polskiego włościanina — parafja. Jego bagaż kulturalny nie był o wiele większy od wyrobienia politycznego. Większość emigrantów — chłopów — to analfabeci. Takie przygotowanie utrudniło oczywiście warunki życia na obczyźnie. Bez znajomości języka i najczęściej bez uprzedniej znajomości życia miejskiego, rolnik przedzierzgnięty w robotnika fabrycznego, z niemałym trudem usiłował wdrożyć się w obcą mu pracę, dyscyplinę i środowisko.

Geneza wychodźctwa wycisnęła na niem wyraźne do dziś piętno ludowości, gdyż w masie posiada ono jeszcze związek z kulturą ludową w Polsce. Język gwarowy, tradycyjne obyczaje i rozrywki — dobitnie o tem świadczą. Nie znaczy to, że Polak dzisiejszy w Chicago jest wieśniakiem, ale zasób jego pojęć i upodobań kulturalnych wywodzi się jeszcze ze wsi polskiej.

Charakter ludowy społeczeństwa wychodźczego jest kluczem do zrozumienia i współpracy z polonją zamorską.

Jedyną organizacją, w zakresie której włościanin, jadący za ocean, miał jakie takie doświadczenie społeczne — była parafja. Wycisnęło to trwające do dziś znamię na budowie społeczeństwa polskiego w Stanach Zjednoczonych. Dotychczas opiera się ono na organizacji parafjalnej.

Powstał też, oczywiście szereg organizacyj świeckich. Wszystkie zrzeszenia użyły, jako czynnika, przyciągającego masy — ubezpieczenia. Są one towarzystwami wzajemnej asekuracji, uprawiającemi na marginesie businessu działalność propagandową i oświatową przy pomocy własnej prasy codziennej i szkół. Interes ubezpieczeniowy skupia w zrzeszeniach wychodźczych setki tysięcy członków.

Żywotność narodowa polskiego wychodźctwa, przeżywa dziś głęboki przełom. Przyczyny tego przełomu upatruje dr. Szczepański w odzyskaniu niepodległości Polski i w zmianach polityki imigracyjnej Stanów, ograniczających swobodę przyjazdu do Ameryki. Wielki ruch powrotny do wyzwolonej ojczyzny nie udał się. Obostrzenia polityki imigracyjnej wywołały obawę opuszczania ziemi amerykańskiej. Wychodźctwo, poczęło się urządzać w Ameryce na stałe.

*) *Dr. Aleksander Szczepański:* Drapacze i śmietniki. Tow. Wydawn. „Rój". Warszawa 1933.

Znalazło to wyraz przedewszystkiem w masowem nabywaniu po wojnie obywatelstwa amerykańskiego i porzucaniu polskich nazwisk. Nastąpiło pewne zachwianie się psychiczne w stosunku do kraju macierzystego, przeciw czemu p. Szczepański wysuwa szereg środków zaradczych.

***

W końcowym rozdziale książki analizuje autor istotne cechy *amerykanizmu*. Przywiązanie Amerykanina do swego kraju odmienne jest od europejskich patrjotyzmów, na które składają się według dr. Szczepańskiego trzy elementy: tradycja historyczna, zrośnięcie z ziemią i wiązanie z pojęciem cudzoziemca — pojęcia wroga. Wszystkich tych pierwiastków brak w przywiązaniu Amerykanina do jego kraju. Tradycje historyczne większości Amerykanów leżą poza Ameryką. Kontynent zamorski nie posiada odpowiednika europejskiej wsi — niema zatem i ludzi, zrośniętych z jakąś okolicą.

Niema też podstaw do strachu przed wrogiem z tej prostej przyczyny, że niebezpieczne dla Stanów sąsiedztwo zaczyna się dopiero po drugiej stronie Pacyfiku — w Japonji.

W poczuciu bezpieczeństwa i siły upatruje dr. Szczepański podłoże psychiczne amerykanizmu. W ufności, jaka cechuje samopoczucie Amerykanina — jest jednak rysa. Poczucie bezpieczeństwa kończy się dla obywatela Stanów tam, gdzie zaczyna się problem rasowy. Od strony azjatyckiej, problem ten rozwikłano i unieszkodliwiono — absolutnym zakazem imigracji żółtej rasy i stałem pogotowiem floty wojennej na Pacyfiku. Inaczej wygląda zagadnienie rasy czarnej. Murzyni stanowią dziś 10% ludności Stanów. Są płodni. Szybko rosną w liczbę i siłę.

Amerykanin nie rozumie w polityce europejskiej przeciwieństw narodowych, lecz w stosunku do czarnych zajmuje skrajnie nieprzejednane stanowisko wroga.

Drugim — według dr. Szczepańskiego — obok poczucia bezpieczeństwa składnikiem amerykanizmu jest poczucie dobrobytu, które *doniedawna* było nieodłączną cechą psychiki obywatela Stanów. Czy ta podstawa amerykanizmu ostoi się wobec pogłębiającego się coraz silniej kryzysu? Rozstrzygnięcie tego pytania pozostawia autor czasowi.

W ustroju amerykańskim tkwi wiele pierwiastków, rozsadzających go i wytwarzających niebezpieczeństwo nastrojów wywrotowych. Sprzyjają im — rosnące cyfry bezrobocia, brak socjalnego ubezpieczenia robotnika w okresie przesilenia oraz pewne zjawiska w dziedzinie obyczajowej i psychicznej, zmierzające do standaryzacji życia zbiorowego.

Zkolei analizuje dr. Szczepański zagadnienie „efficienty" (wydajność), związane z tayloryzacją i systemem „taśmy ruchomej", która rytmizuje i automatyzuje pracę robotnika. Człowiek, pracujący pod dyktando ruchu taśmy, musi ograniczyć nietylko ruchy, ale i swoje myślenie do pewnych najprostszych skrótów. „Ruchoma taśma", zaciążyła na psychice dzisiejszego Amerykanina. Myśli i mówi on skrótami, porusza się w życiu po najkrótszych i najbardziej celowych linjach. Wpływ taśmy dotarł nawet do szkoły. „Najprościej i najkrócej" — zdaje się być hasłem nauczania, zilustrowanem przez autora ciekawym epizodem: uczeń otrzymuje przepołowiony arkusz; po lewej stronie znajdują się wydrukowane pytania, po prawej zaś — po kilka na każde pytanie odpowiedzi. Zadaniem ucznia jest tylko podkreślenie z pośród kilku — odpowiedzi trafnej.

Podwaliną prosperity miała być produkcja — coraz doskonalsza, coraz tańsza, na coraz większą skalę. Wojna i lata powojenne zapowiadały triumf tego programu. Fabryki amerykańskie pracowały dniem i nocą. Zaopatrywano Europę i porzucone przez nią podczas wojny rynki. Zarobki robotnika urosły do rozmiarów przedtem nieznanych. Wraz z płacą rosły i potrzeby robotnika — radjo, samochód, dom własny. Produkcja amerykańska szalała. Powojenne wyniszczenie Europy otworzyło przepaść potrzeb— zdawało się — bezdenną.

Po radju, samochodzie, domie — robotnik zaczął kupować akcje, których kursy z zawrotną szybkością wspinały się wgórę.

Rychło jednak lata pokoju ujawniły rozstęp między spożyciem, a produkcją, nastawioną na zachłanne zapotrzebowanie wojenne. Należało przyśpieszyć tempo konsumcji.

Uruchomiono „scientific advertissing" — naukową propagandę.

Nie zadawalała się ona reklamą tego lub innego towaru. Urabiała psychologję spożywcy. Wzniecała gorączkę coraz nowych potrzeb. Niedość mieć porządne ubranie i obuwie, radjo i samochód. Ubranie i buty muszą być zawsze nowe, pod żadnym pozorem naprawiane, radjo i auto muszą być tegorocznego modelu! Interes produkcji wytwarzał celowo psychozę rozrzutności. Niebywałe zarobki Amerykanina w czasie wojny i po wojnie ułatwiły tę propagandę. Zmieniano co sezon nietylko odzież, ale limuzyny, sprzęty, urządzenia. W ten sposób urósł do potwornych rozmiarów drugi — obok drapacza — symboliczny składnik krajobrazu współczesnej Ameryki — *śmietnik!*

Śmietnik amerykański zwraca uwagę swoją rozległością i bogatą treścią. Od kołnierzyków i garnków kuchennych — aż po radjo i samochód — wszystko w nim się znajdzie. Olśniewa bogactwem „odpadków", które staje się zrozumiałe, gdy poznaje się zaszczepioną społeczeństwu amerykańskiemu przez propagandę wytwórczości — psychozę posiadania najnowszych modeli.

Zastrzyk rozrzutności nie mógł oczywiście długo działać. Październikowy krach giełdy nowojorskiej w r. 1929 zapoczątkował „serję kryzysową". Oznaczała ona jednocześnie załamanie się jednej z najistotniejszych według autora cech amerykanizmu: wiary w potęgę niemal wszechmocną pieniądza i w zdobycze naukowej organizacji.

Śmietniki amerykańskie kurczą swą zasobną pojemność. Koła produkcji amerykańskiej poczęły obracać się w próżni.

Książka p. Szczepańskiego daje lekturę ze wszechmiar pouczającą.

Józef Szpecht

WYCHOWANIE ESTETYCZNE

O ile o wychowaniu obywatelskiem, państwowem, moralnem, a zwłaszcza o wychowaniu fizycznem, mówi się i pisze coraz częściej, o tyle sprawa wychowania estetycznego pomijana jest tak dalece milczeniem, że wszystko, co wkracza w jej dziedzinę, uważane jest za coś nadprogramowego lub zgoła luksusowego. Od najwcześniejszych lat szkolnych punkt ciężkości u małego człowieka przerzuca się całkowicie na naukę, na rozumowanie: pomija się prawie zupełnie sferę uczuć i wyobrażeń; niema miejsca na barwę, na dźwięk.

A przecież kultura estetyczna — to taki sam niezbędny czynnik wychowawczy, jak kultura logicznego myślenia. Owa kultura estetyczna — to niezawodny środek wysubtelniania wrażeń i spostrzeżeń; to droga do rozwoju w dzieciach i młodzieży takich nastawień, które decydują o bogactwie indywidualności, które mogą stać się rdzeniem życiowych i społecznych zainteresowań.

I dlatego właśnie sztuka powinna być elementem składowym w całokształcie nauki szkolnej, od pierwszych lat nauczania począwszy. Tymczasem jak jest w rzeczywistości? Przedmioty tak zwane artystyczne — to śpiew i rysunki, notabene do pierwszej tylko klasy i do wyboru: jednocześnie śpiewu i rysunków uczyć się nie można(!). O rytmice, która w Japonji, naprzykład, jest jednym z najważniejszych przedmiotów, u nas mowy niema. A przecież rytm jest podstawą wszelkiej sztuki; bez rytmu niema ani muzyki, ani tańca, ani malarstwa. W malarstwie rytmem jest rysunek, melodją — farby. W architekturze rytmem jest symetrja, raczej proporcja, bo równowaga jest podstawą rytmu. Zresztą, co tu mówić! Przecież wszystko na świecie ma swój rytm i temu rytmowi jest podporządkowane, lecz zdolność zmian rytmicznych — według własnej woli — dana jest tylko człowiekowi.

Przetworzenie tej zdolności na świadomą umiejętność kierowania własnym rytmem, umiejętność opanowywania instynktów, zwalczania w sobie pobudek, wreszcie radość tworzenia nowych rytmów dla rytmu — oto w najprostszych zarysach przedstawione znaczenie wychowawcze podstawy wszelkiej estetyki — metody rytmicznej. Twórcą tej metody jest genjalny Dalcroze, który oparł na niej wychowanie nowego człowieka, osiągając niesłychane rezultaty.

Niektóre narody, przedewszystkiem Japończycy, stosują system wychowania, bardzo zbliżony do zasad Dalcroze'a, służąc całemu światu za wzór hartu ducha, siły woli, bystrości umysłu i zręczności fizycznej.

I oto pierwsza teza niniejszego artykułu: uczynienie z rytmiki przedmiotu obowiązującego przez cały ciąg szkoły średniej, aby uczynić rytm naukowo niezbędnym elementem życia, z którego, jak z jednego korzenia, wyrasta, jako pień — praca codzienna, jako korona — sztuki piękne. Oczywiście, że owa metoda rytmiczna, polegająca na rozwoju duchowych właściwości człowieka, przy jednoczesnym harmonijnym rozwoju fizycznym, jest czemś całkiem innem od tak modnej gimnastyki rytmicznej, prowadzonej naogół nieumiejętnie i niepedagogicznie, jakże często przy dźwiękach rozklekotanego patefonu, z pomijaniem tedy jednego z ważnych celów prawdziwej rytmiki — umuzykalnienia, obudzenia nietylko miłości do tej najcudowniejszej ze sztuk — muzyki, ale wydobycia z siebie, z własnej duszy i ciała, pod jej wpływem, swoistego, niezbędnego rytmu.

O znaczeniu wychowawczem muzyki, w sensie jej oddziaływania na nasze duchowe ośrodki, w sensie wydobywania z nas najbardziej dodatnich, subtelnych reakcyj, wiedziano od niepamiętanych czasów. Legenda o poskramnianiu dzikich zwierząt przez Orfeusza, przy pomocy muzyki, praktyki zaklinaczy wężów — są właśnie dowodem, że czarowi jej oprzeć się nie mogą nawet organizacje niższe, a cóż dopiero człowiek. Słynny Tyberjusz Gracchus, mając niezwykle gwałtowne usposobienie, które powodowało całkiem nieobliczalne wybuchy, kazał niewolnikowi stale towarzyszyć sobie i w momencie swego uniesienia uspakajać się muzyką. Tony muzyki ułagadzały go natychmiast. Muzyka działała jednak i podniecająco (oczywiście mowa o prawdziwej muzyce). Ma ona tę przedziwną własność, że pod jej wpływem następuje emanacja utajonych, czasem podświadomie sił i pierwiastków. Wiemy z historji, czem była Marsyljanka; wiemy, jak pod wpływem pieśni narodowych najbardziej zakamienieli ludzie, na których ani słowo, ani przykład czynu nie działały, pod wpływem hymnu przeistaczali się w momencie kulminacyjnym.

Wiemy zresztą, że z pośród wszystkich sztuk pięknych muzyka działa najsilniej pod względem uczuciowym. Pochodzi to stąd, że tutaj uczucie wywołane jest wprost przez zmysłowe spostrzeganie tonów bez pośrednictwa umysłu. Dlatego też czyste działanie muzyki uświadamia się prawdziwiej i z większem pogłębieniem wobec t. zw. muzyki „bezwzględnej", to jest takiej, której nie towarzyszy żaden tekst.

Kształcenie muzyczne, niestety, u nas prawie nie istnieje. U nas wogóle nie kocha się muzyki (mówię o ogóle), nie odczuwa się jej potrzeby. We Francji, w Austrji, we Włoszech, pieśń, czy piosenka jest składowym czynnikiem życia: to samo w Estonji, w Czechosłowacji, w Niemczech. A u nas? Albo się wcale nie śpiewa, z wyjątkiem modnych „przebojów", albo się śpiewa okropnie, jak naprz. chóry kościelne, na co nasi fachowi muzycy zwracali uwagę.

Obserwuję czasem wycieczki szkolne, te ze wsi zwłaszcza. Czeka czasem godzinami bractwo na stacji. Trochę ogłupiałe i prawie zawsze milczące. Nie śpiewa. Uczą niby tych śpiewów w szkole, ale traktuje się to zawsze, jak suchy i urzędowy przed-



miot. Nie budzi się zamiłowania. Zresztą, jak już zaznaczyłam, owe lekcje śpiewu, są nieobowiązujące.

Kultura wrażliwości estetycznej, to sprawa niezwykle doniosła. Wrażliwość estetyczna potęguje ludzką zdolność do szczęścia, stanowi więc dla rozwoju jednostek dobro bezwarunkowe, tembardziej, że cechą charakterystyczną uczuć estetycznych jest ich absolutna bezinteresowność! Oczywiście, w późniejszym rozwoju zwiększające się ogólne bogactwo psychiczne wpływa na skojarzenie się wzruszeń estetycznych z różnemi wyobrażeniowemi i uczuciowemi piarwiastkami, które je potęgują i komplikują; źródło ich jednak leży zawsze w samej wrażliwości zmysłowej i zależy od sposobu odczuwania wewnętrznej podniety.

Sublimacja tych podniet — co za wielkie i ważne zadanie! Uczynienie ze wszystkiego, co piękne, właśnie podniety, wywołującej pozytywne nastawienie psychiczne w stosunku do wszystkiego, co naprawdę godne zainteresowania! Kultura tych zainteresowań estetycznych w stosunku do przyrody jako najdostępniejszego źródła wzruszeń, do sztuk pięknych, ciągła, systematyczna praca w celu wywołania skojarzeń między estetyką a moralnością, estetyką a życiem — to nieograniczone i jak dotąd zupełnie zaniedbane pole działania. Coraz bardziej oczywistem staje się twierdzenie, że sztuka to również potężny czynnik społeczny. Zachwytowi nad pięknem jakże często towarzyszy niepowstrzymana chęć podzielenia się wrażeniem. Piękno jest czynnikiem łączącym, jednoczącym ludzi; ono sprawia, że zapominają o tem, co ich dzieli. Estetyczne wzruszenia wzbogacają życie, potęgują siłę jego napięcia; pod ich wpływem czujemy, że żyjemy intensywniej, osiągamy pełnię życia, stajemy się chwilami zdolni do rzeczy nadzwyczajnych.

Ludzie i przedmioty, jeśli wywołują w nas uczucie zachwytu, wydają się wskutek tego istotnie piękniejszymi. Piękność bywa nietylko przyczyną, ale często i skutkiem miłości. Z głębi naszej istoty promieniuje piękność na umiłowane przedmioty i każe nam dopatrywać się w nich coraz to doskonalszych cech. Ta „upiększająca" siła miłości może właśnie wywoływać w duszach młodzieży owo t. zw. sympatyczne nastawienie w stosunku do olbrzymiej dziedziny uczuć. Czemże, jeżeli nie „upiększającą" miłością jest miłość do ojczyzny, do wiedzy, do osób bliskich?

Zachodzi głęboki związek między sztuką a moralnością. Artysta odrywa nas na pewien czas od powszednich popędów egoistycznych i na chwilę wznosi ponad samych siebie. Dopóki zostajemy pod urokiem dzieła sztuki, niema miejsca w sercu na nic małostkowego i poziomego. Dzięki temu wyzwalającemu wpływowi, płynącemu z każdego prawdziwego dzieła sztuki, możemy się stopniowo dźwigać na coraz wyższy poziom odczuwania. Jeżeli miewamy często sposobność poddawania się działaniu sztuki, uczymy się lekceważyć inne przyjemności, budzące grube i poziome instynkty.

Dostarczając dzieciom i młodzieży możności rozkoszowania się pięknem, nietylko otwieramy przed niemi bogate źródło czystego szczęścia, lecz zarazem zabezpieczamy je przeciw zgubnym wpływom życia. Ważną jest rzeczą, skąd człowiek czerpie swoje zadowolenie.

Sztuka nie przez to działa uszlachetniająco, że prawi morały, lecz przez to, że oczyszcza źródło naszych przyjemności i potęguje naszą sympatję do wszystkiego, co ludzkie. Oto — synteza estetyki, jako czynnika wychowawczego, i czas najwyższy, aby zdawszy sobie z tego sprawę, pchnąć wychowanie młodzieży na nowe tory, przez całkowite równouprawnienie sztuki, jako składowego pierwiastka w programie nauczania.

Janina Strzelecka

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Nazajutrz po zeskomotowaniu święta robotniczego — dnia 1 maja — rząd hitlerowski zlikwidował w ciągu paru godzin organizację związków zawodowych, która stanowiła siłę i chlubę ruchu robotniczego w Niemczech. Dokonano tego z większą łatwością, niż likwidacji parlamentaryzmu, wolności obywatelskich i innych właściwości ustroju demokratycznego.

Poprostu oddziały szturmowców wkroczyły do gmachów związków zawodowych, zajęły je, aresztowały pięćdziesięciu kilku ludzi, kierowników ruchu zawodowego z Leipartem na czele, i już: związki zawodowe znikły, roztopiły się w oceanie hitlerowskim.

Nie uratowała ich neutralność, którą p. Leipart pośpiesznie proklamował jeszcze w pierwszych dniach marca.

Dr. Ley, któremu powierzono łatwą misję likwidacji związków, najcyniczniej w świecie oświadczył:

„Leiparty i Grassmany mogą składać obłudnie, ile chcą zapewnień o uległości dla Hitlera, zawsze będzie lepiej, żeby dla bezpieczeństwa posiedzieli w więzieniu".

Wykonywując rozkaz, d-r Ley musiał jednak przyznać, że hydra marksizmu zdawałoby się, że już powalona, jeszcze żyje i to właśnie zmusza rząd do zadania jej nowego ciosu. Uległość do niczego nie doprowadziła, a przecież „zawodowcy" szli tak daleko, że w Monachjum np. wyrażali zadowolenie z powodu ogłoszenia 1 maja za dzień święta państwowego, udając, że nie rozumieją całej hipokryzji kryjącej się w tem hitlerowskiem zarządzeniu.

1 maja w sosie brunatnym interesował opinję na świecie nie z powodu „kolosalnych" demonstracji, sadzenia dębu Hindenburga i obnoszenia portretów „wodzów" po miastach i miasteczkach Niemiec. Zaciekawienie wywołała zapowiedziana na dzień ten mowa Hitlera, w której wreszcie miała być zdradzona tajemnica czteroletniego programu rządu Rzeszy. Zapowiedź ta nie budziła wielkiego zaufania, ale jednak trudno było przypuszczać, że przywódca Niemiec dzisiejszych, a w każdym razie ten, który do tej roli pretenduje i ma za sobą poparcie miljonów, zamiast programu zaprezentuje całkowitą pustkę... Dziwna rzecz, jak fanatyzm szowinizmu, czyni ludzi jałowymi, odziera ich z wszelkiej myśli i treści poza jednem wszechogarniającem uczuciem zemsty i nienawiści.

Dwie trzecie przemówienia pierwszomajowego w Tempelhofie wypełniły frazesy o znaczeniu święta. Na sam koniec przyszedł tak oczekiwany program. I oto, co się tam znalazło: 1) zapowiedź bratania się wszystkich stanów niemieckich, 2) obietnica wprowadzenia przymusowej pracy, 3) wezwanie do czynienia zakupów, aby ożywić ruch handlowy, 4) obietnica rzucenia miljardów na roboty publiczne, a wreszcie 5) wezwanie do właścicieli domów, aby przystąpili do remontu kamienic.

Z tych pięciu punktów, tylko jeden ostatni miał jakie takie cechy realności. Owszem, przy nakazanem z góry odno-

wieniu różnych ruder można znaleźć zatrudnienie dla kilkuset pracowników w Berlinie i paru tysięcy w innych miastach. Złośliwy mógłby powiedzieć, że remont domów stanowi jedyną poniekąd fachową dziedzinę wiedzy kanclerza Hitlera, jako malarza z zawodu i że stąd właśnie ten punkt znalazł się w jego „czterolatce".

W każdym razie w tym punkcie programu tak samo, jak w sklepikarskiem wezwaniu do czynienia zakupów odbija się cała nicość i małość światopoglądu „Führera".

Aforyzm o brataniu się, złamanem nazajutrz przez pochód na związki zawodowe, jest w programie Hitlera wyznaniem wiary małego człowieka, nie mającego żadnej koncepcji urządzenia życia swojego narodu.

Bratania się klas i stanów nie brał zresztą nikt na serjo, nawet sam mówca, bo w parę dni później w Kilonji w mowie do szturmowców proklamował bardziej bliskie jego sercu i umysłowi zasady walki, zniszczenia i zemsty:

— Nadeszła — mówił — dziś godzina porachunku, w której z lodowatym spokojem wyciągniemy wszelkie konsekwencje. Nie trzeba oddawać się żadnym złudzeniom. To jest koniec zbrodniarzy listopadowych, koniec tego systemu, koniec ich czasów. Będziemy tych ludzi prześladować, aż do ich ostatniej kryjówki (bis zu den letzten Schlupfwinkel) i nie spoczniemy, póki ta trucizna nie zostanie całkowicie usunięta z ciała naszego narodu... Pięść naszej młodej gwardji narodowej jest dostatecznie silna, aby zgnieść każdego. Będziemy działali według starego przykazania: „Oko za oko, ząb za ząb"!

Oto program: to co powiedziano w Kilonji 7 maja, a nie ta majowa woda, którą wylewano w Tempelhofie — 1 maja!

I oto dlaczego trudno sądzić, aby na podstawie takiego programu zostało zbudowane jakieś trwałe dzieło.

Dyplomacja rządu Hitlera usiłuje przybrać ten program zemsty, obwieszczony krajowi, w festony pokojowości na zewnątrz. Deklaracja pod adresem Polski, prolongata umowy z Sowietami — to mają być pociągające i budzące zaufanie ornamenty. Ale natura ciągnie mściwe zwierzę do lasu. Pokojowym deklaracjom, które mają zaepatować burżuazję przynajmniej angielską towarzyszą gesty, które tę demonstrację niweczą.

Do deklaracji o beznamiętnem rozważeniu sprawy stosunków z Polską dodaje się w całej prasie „zuniformowanej" komentarze o rewizji granic, mieszczącej się rzekomo w poszanowaniu traktatów, a do przedłużenia umowy z Moskwą dodaje się tajemniczą eskapadę p. von Rosenberga do Londynu z planami podziału sfery wpływów gospodarczych po obaleniu reżimu Sowietów.

Pacyfistycznym deklaracjom, pod adresem Polski i Rosji towarzyszą pozatem bardzo przejrzyste posunięcia i intrygi w Austrji, z których należy wnosić, że na tym froncie szuka rząd hitlerowski, jako w punkcie najsłabszego oporu, rewanżu za całkowitą klęskę na wszystkich innych polach swoich haseł w polityce zagranicznej.

Rząd hitlerowski na wewnątrz nie spełnił ani jednej ze swych obietnic, nie stworzył pracy, nie zażegnał bezrobocia, nie usunął nędzy miast i ruiny wsi, na zewnątrz — nie sprowadził dla Niemiec żadnych zmian na lepsze w stosunku do stanu, który zastał, a tylko utracił wszystkie pozycje moralne w opinji zagranicznej. Cóż więc pozostaje, aby choć czemś swoje gwałty usprawiedliwić? Pucz w Austrji.

Pogromowi nauki, sztuki, oświaty wewnątrz kraju musi odpowiedzieć jakaś bomba nazewnątrz. Wymaga tego wewnętrzna logika wydarzeń.

Shitleryzowana „Frankfurter Zeitung", rozglądając się dokoła siebie, zamieściła w dn. 7 b. m. znamienny artykuł wstępny p. t.: „Czy ich nie potrzebują?" Jest to pytanie, które powtarzają sobie miljony obywateli niemieckich. Gazeta zwraca uwagę, że wśród dzisiejszych hitlerowców ferujących bezwzględne wyroki są tysiące takich, którzy zjawili się w obozie dopiero po zwycięstwie, ale są przecież miljony innych. Autor apeluje do rozsądku i mówi:

— „Wodzowie i ideje zmieniają się, ale zawsze zostanie te same 60 miljonów ludzi, którzy stanowią naród niemiecki". Czy wśród tych miljonów tylko ci są potrzebni, którzy stanęli do dyspozycji rządzącej partji? Oto skromne i pełne troski pytanie, które wyziera ze szpalt gazety frankfurckiej.

Postawienie tego pytania — to resztka odwagi cywilnej w prasie niemieckiej. Pytanie zostanie bez odpowiedzi, bo odpowiedź jest dawana codzień i brzmi wyraźnie: kto nie z nami, ten musi paść ofiarą zemsty. Taka jest odpowiedź dni bieżących w Niemczech. Przyszłość na to pytanie odpowie inaczej.

St. Gr.

LISTY DO »EPOKI«

I.

Szanowny Panie Redaktorze!

Pozwalam sobie zwrócić uwagę na wydarzenie, które świadczy, jak u nas łatwo oszkalować najbardziej niewinnego człowieka i jak to nikczemność ludzka znajduje sobie natychmiast i bez trudu licznych pomocników.

W jednem z pism warszawskich wydrukowano artykulik pod wymownym tytułem: „Skarga na nauczycielkę", a właściwie odpis skargi, zaopatrzonej w 21 podpisów, które nb. redakcja zachowała dla swojej wiadomości. W odpisie tej skargi, skierowanej do Pana Inspektora powiatu Grójeckiego donosiciele stawiają nauczycielce, p. Felicji Szumskiej, szereg bardzo ciężkich zarzutów, jak np., że dzieci w szkole karane są przez nią fizycznie, w sposób bardzo bolesny, że niszczy ona ciężką pracę rodziców, drąc dzieciom zeszyty szkolne, że prowadzi intrygi między rodzicami, a dziećmi i t. p.

Naskutek takich zarzutów, władze Ministerstwa Oświaty zarządziły bezzwoczne dochodzenie. Zbadano sumiennie znaczną liczbę rodziców, sporządzono 20 protokułów i odpisów zeznań, zaopatrzonych w własnoręczne podpisy osób zainteresowanych. I cóż się okazało? Otóż wyniki dochodzenia, sformułowane przez przewodniczącego dozoru szkolnego tego rejonu, stwierdzają, że 1) całe oskarżenie nauczycielki o ciężkie przekroczenia powstało na podkładzie zemsty osobistej jakiejś handlarki, 2) dosłownie ani jeden zarzut nie znalazł potwierdzenia nawet w zeznaniach osób, które skargę podpisały.

I teraz pytamy, jak skwalifikować zmysł sprawiedliwości i poziom umysłowy osób, które służyły tutaj za narzędzie w rękach osoby, pałającej zemstą z „błahych, plotkarskich powodów", jak wykazało dochodzenie. Nadto charakte-

rystyczne, że jest pismo stołeczne, które bezkrytycznie umieszcza kalumnje, dając się użyć za transmisję oszczerczej roboty. Ale najsmutniejsze jest to, że w dochodzeniu natknięto się na pewną urzędniczkę państwową, która zredagowała skargę na ową nauczycielkę, również urzędniczkę państwową, nie sprawdziwszy uprzednio zarzutów, stawianych i nie znając ani osoby szkalowanej, ani tutejszych stosunków szkolnych.

Oto smutny przykład wstrętnej swawoli w wydawaniu opinji o drugim człowieku, oto potworna i krzywdząca nieodpowiedzialność, tak u nas, niestety, rozpowszechniona.

Czytelnik z Grójca

II.

Szanowny Panie Redaktorze!

Z prawdziwą satysfakcją przeczytałem w „Epoce", interesujące i cenne uwagi, poświęcone t. zw. maturalnej kwestji. Jestem ojcem jednej z takich rodzin, które w roku bieżącym przechodzą na własnej skórze piekło maturalne. Mam syna, który od pierwszej klasy jest uczniem tego samego gimnazjum i przechodził z klasy do klasy nietylko bez „zimowań", ale i bez zastrzeżeń z jakiegokolwiek przedmiotu.

W świadectwie przejścia do ósmej klasy, syn mój z niemieckiego, z łaciny i z matematyki miał „dobrze", czyli, jak mówiono dawniej — „czwórkę". Tymczasem przez dwa pierwsze okresy w klasie ósmej, wlepiają pp. profesorowie mojemu synowi po dwójce (niedostatecznie) z tychże samych przedmiotów. Co więcej, wzywają mnie do gimnazjum, by oświadczyć, że „z synem pańskim jest źle, nic nie umie i nie wiadomo, jak będzie z maturą". Oczywiście, że momentalnie wziąłem pomoc, lecz już po trzeciej lekcji wzywa mnie korepetytor: „Proszę pana, istotnie jest źle, syn nie nie umie z tych przedmiotów i nie wiem, czy mógłby na podstawie posiadanych wiadomości zdać do klasy... szóstej".

Skończyło się na tem, że już od sześciu tygodni syn nie kładzie się normalnie spać, zatruwa się papierosami i kawą i kuje dzień i noc. Co ja mówię — skończyło się!... Całe nieszczęście, że nie wiadomo, jak skończy się ta przykra niespodzianka ze strony pp. pedagogów gimnazjalnych, którzy dlatego przez osiem lat przepuszczali chłopca z klasy do klasy, by mu oznajmić po ośmiu latach „pedagogicznej praktyki", że nie wiedzą, czy dopuścić do matury, czy nie.

Zdawałoby się, że przy takich warunkach zachodzi istotnie potrzeba matury. Tak, ale matury dla Sz. ciała nauczycielskiego. Zachodzi paląca potrzeba kontroli sumienności pp. pedagogów, i to kontroli stałej. Zachodzi potrzeba stałej i ścisłej współpracy trzech czynników na terenie szkoły: 1) uczniów, 2) nauczycielstwa, 3) wizytatorów. Egzaminy maturalne są votum nieufności dla ciała nauczycielskiego i tem smutniej, jeśli votum usprawiedliwionem. Rozumiem, że wyższe władze szkolne mają prawo nie ufać nauczycielowi, — niechże jednak w takim razie otoczą pracę nauczyciela stałą kontrolą fachową, która i jego będzie obowiązywać, — nie tylko ucznia.

Jeśli chodzi o „urzędowość" — to mógłby matur udzielać Państwowy Urząd Statystyczny na podstawie statystyki stopni. Cała ważność polega na tem, żeby stopnie miały sens, znaczenie i autorytet. Da się to doskonale uskutecznić przez zwiększenie fachowej kontroli nad naszem szkolnictwem średniem.

Warszawa *Paweł K.*

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Panu Wacławowi P. w Radomiu: Typowy wiersz „dla cioci na imieniny".

Panu Stefanowi Z. w Sosnowcu. Sztuczne, napuszone, egzaltowane. Minęły czasy tej barokowości w publicystyce. Zalecamy Panu tę cnotę wspaniałą: prostotę słowa.

Pani Janinie St. w Łodzi. Dziękujemy. Wysłaliśmy.

Panu Stanisławowi K. w Krakowie. Słusznie. Palenie książek autorów „niebezpiecznych" jest nadewszystko aktem mizernego tchórzostwa. Fanatyczne hordy hitlerowskie nie rozporządzają siłą myśli, przeciwwagą intelektualną, uczciwym argumentem, który mogłyby przeciwstawić obozom wrogim. Mogą tylko — niszczyć i palić. Ciemny, rozwydrzony motłoch.

TREŚĆ NUMERU.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, UL. OKÓLNIK 11 — TEL. 285-52 — KONTO P.K.O. 26.630.

REDAKTOR przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od godz. 17 do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się.
PRENUMERATA kwartalna z przesyłką zł. 6.— zagranicą kwartalnie zł. 7.50 — numer pojedyńczy 60 groszy
OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm.) zł. 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm.) gr. 40.

REDAKTOR I WYDAWCA: JÓZEF WASOWSKI Z. 323 Odbito w Zakł. Druk. W. Piekarniaka Warszawa, Ordynacka 3